

**AZS – anegdoty 2**

*Pamięć z którą mam do czynienia działa mniej więcej tak: staje mi przed oczami jakaś osoba – fizycznie lub w wyobraźni - którą znałem lub coś o niej słyszałem... i wtedy w kotłowaniu myśli przypominają się jakieś ułamki zdarzeń ... Teraz odpowiedzialne myślenie przeprowadza weryfikację: czy to opowiadanie nie czyni krzywdy i czy jest dostatecznie istotne , warte upamiętnienia i następuje wpis. I jeszcze jedno „anegdota” to nie tylko dowcipne opowiadanie patrz Słownik Języka Polskiego.*

W poprzednim odcinku pisałem o reakcji naszych koleżanek na zachowanie **Janusza Sidły** (1933-1993) Wspominałem że to mogła być **Hania Dobrzańska** Warto powiedzieć że miała pełne prawo do tego bo też była osobą obracającą się w kręgu mistrzów: żeglarstwa i narciarstwa. Opowiadała że przed biegiem zjazdowym wiązała kandahary langrimenem (długim rzemieniem) aby jej wiązanie nie puściło bo to zawsze oznaczało utratę biegu. Sprawa dość banalna jest przytoczona, dlatego że współczesny sprzęt jest taki że np. moje wnuki uczą się jeździć na nartach w ciągu dwóch dni (narty karwingowe). Postęp tak jak w wielu dziedzinach techniki tu też jest zupełnie niebywały.

Narciarstwo wiąże się bardzo często z żeglarstwem i nie tylko dlatego że trójmiasto ma świetne tereny narciarskie na swoim zachodnim pobrzeżu, czy, że Śląsk Górny ma blisko do Beskidu, a Wrocław do Karkonoszy. Jakoś wynika to stąd, że nie ma co robić w zimie gdy akweny są zamrożone a bojery nam nie pasują. Było kilku ludzi, którzy zajmowali się zawodowo oboma dziedzinami. W zimie uczyli jeździć na nartach a latem instruktorzyli w żeglarstwie Jednego z nich spotkałem na wspomnianym obozie unifikacyjnym ASZ w Trzebieży co miało miejsce w roku olimpiady w Tokio 1964. Wielkie sukcesy naszych lekkoatletów m. in. biegaczek Kirszenstein i Kłobukowska – które z polecenia wojewódzkiego sekretarza partii musiały być wożone po zalewie przez jednego z naszych kolegów prowadzącego najbardziej elegancką łódkę - nie pamiętam go z imienia i nazwiska wiem, że z jakiegoś powodu był osobą bezwzględnie nie pijącą. Ów narciarsko żeglarski instruktor nazywał się **Jakubowski** imienia nie pamiętam, mieszkaliśmy w jednym pokoju – miał ruchome gipsowe usztywnienie które codziennie zakładał na nogę z pomocą bandaży. Wynikało to z tego, że w sezonie zimowym przy testowaniu jakiegoś nowego wiązania, które akurat zawiodło doznał kontuzji odpadnięcia mięśnia... Mawiał do mnie kilka razy w tygodniu: „poco tu przyjechałeś przecież ty masz zawód, a przez to zabierasz mi zajęcie (utrzymanie)”. Był on jednym z dwóch (drugim był wrocławski poeta **Jagodziński**) „obcych instruktorów” mających jakiś stały kontrakt w ośrodku w Trzebieży, tak że musieli być przez ASZ tolerowani. Nie było to powodem jakichkolwiek konfliktów w czasie trwania obozu.

Wydaje mi się, że KWŻ-etem tego obozu był **Ziomek (Ziemowit) Ostrowski** (wtedy dziennikarz ośrodka radiowo telewizyjnego w Szczecinie). Z przeglądanych obecnie materiałów wynika, że pływał on wielokrotnie w różnym czasie po rozmaitych morzach, a mnie jakoś zapamiętało się że był on sekowany za wojenną przeszłość permanentną odmową pozwolenia na pływania morskie. Z Ziomkiem wiąże się następujące opowiadanie: W czasie rekreacyjnym w stosunkowo wąskim gronie (być może tylko kadry) jest opowiadany szmonces jak to Icek przychodzi do domu i zastaje żonę nagą. Dlaczego się nie ubrałaś; - bo nie mam co na siebie włożyć. Jak to, podchodzi do szafy i przegląda: jedna sukienka, druga sukienka, Dzień dobry Panu, trzecia sukienka... Trochę inna wersja gdy coś Ickowi miało zagrażać i wtedy przegląd szaf jest kwitowany „I tu go nie ma” „I tu go nie ma...” Na to Ziomek mówi ja to znam w bardziej

dramatycznej wersji: W czasie okupacji odbywa się niemiecka rewizja. W szafie schował się ktoś szukany, szeregowy wachman otwiera szafę i widzi skierowaną na siebie lufę zamyka szafę i ogłasza „Tu go nie ma!” I inne bardzo zbliżone okupacyjne opowiadanie nie wiem czy też przy tej okazji przytoczone. Przez las przedziera się ktoś w wielkiej dyskrecji. Zachowuje maksymalną ciszę, jest całkowita ciemność, maca krzaki wzdłuż ścieżki i napotyka lufę – chwila wahania przechodzi dalej... Ten ktoś opowiada to przy wódce w restauracji. Od sąsiedniego stolika podnosi się facet podchodzi i mówi to ja tam byłem...

**W ostatnim czasie dotarła do nas wiadomość, że Ziomek odszedł na ostatnią wachtę w nocy 9/10 marca 2011 r.**

ZG AZS {czytaj **Teresa Dudzic**} armator Y/S „Joseph Conrad” układał harmonogram rejsów w ten sposób że pierwszy turnus zaczynał się pod koniec maja i był sześciotygodniowy. Można nazwać to turnusem „takielunkowym” - Zakwalifikowana załoga tyrała ok tygodnia aby otaklować jacht po zimowaniu i remoncie łącznie z takimi czynnościami jak dewiacja kompasu czy nabycie kompletu map na planowany rejs itp. Następnie odbywał się jakiś zagraniczny rejs trwający nawet 4 tygodnie co stanowiło pewną nagrodę. Brałem udział w takim rejsie w 1962 r. Była to pierwsza próba **Bibka Pierożka** dotarcia do Narwiku i na Wyspy Owcze. Udało się mu to zrealizować dopiero w 2 lata później.

**Bogumił (Bibek) Pierożek** (1923 – 2004) był kapitanem tego rejsu, pierwszym był **Jasio Sauer** i bosmanem **Andrzej Apollo**. Z innych załogantów pamiętam **Maćka Gumpłowicza**, wtedy studenta medycyny, który jak był na kogoś zły to bez względu na płeć życzył mu ciąży pozamacicznej; został zresztą ginekologiem i w takim charakterze pracował jakiś czas w szpitalu w Giżycku. Później był „zamieszany” w organizację i pływanie na Cap Horn. Nazwiska pozostałych członków załogi jakoś mi umknęły: młoda para ze Śląska i dwoje nieco starszych z Poznania.

Z planowanego Narwiku nic nie wyszło bo Norweskie porty stały się NATO-wskimi i my „socjaliści” nie dostaliśmy wiz. Oglądaliśmy zgromadzone przez Jasia S. mapy norweskich brzegów opatrzone niczym locja obrazkami przedstawiającymi wygląd brzegu<sup>1</sup>. Przeciwnie wiatry spowodowały że podróż przez „Północnik” (Morze Północne) z Brunsbütelkog do Sunderlandu trwała tydzień. Podjęto decyzję przepłynięcia przez kanał kaledoński i opłynięcie kawałka Szkocji. To też się nie udało z przyczyn czasowych, więc z południowego krańca jeziora Loch Ness zawróciliśmy.

Tu warto przytoczyć przykład z dziedziny poszanowania prawa. Regulamin kanału Kaledońskiego mówi że jest on czynny w godzinach 8 do 20. Dopłynęliśmy do służy za którą mielibyśmy wiele kilometrów bez przeszkód, o godzinie 19,40. Śluzowy stwierdził że w ciągu 20 min nie zdążymy się prześluzować i że trzeba czekać do rana... po czym miał ok 40 min czasu żeby nam pomagać w prawidłowym ustawieniu się i zacumowaniu. Nasz dostałby ½ litra i przepuścił a u królowej regulamin to rzecz święta.

Czerwiec owego roku był nad Bałtykiem tak upalny że mówiono że na plażach piasek parzy w nogi. My na morzu mieliśmy temperaturę dniem 7 a nocą 5°C. Szliśmy od Bornholmu (bo trzeba było zaliczyć Christiansö) na zatokę Meklemburską; od obiadu po prawej stronie zaczęliśmy obserwować ląd – wysoki, zamglony... Kapitan pytany „na okoliczność” udzielał wymijających odpowiedzi. Dopiero w czasie zachodu słońca zaoczyliśmy latarnię na cyplu Arkona, na granicy widzialności, jak dziś pamiętam odległość 22Mm. Linia styczna kursowa wyznacza nam dokładną pozycję. Najbliższy ląd po prawej jest w odległości co najmniej 60Mm. I wtedy Bibek „pękł” i powiedział przy takich różnicach temperatur możemy mieć do czynienia z przeniesieniem bardzo odległych widoków dzięki tworzącym się „soczewkom powietrznym” - powiedział że mogliśmy oglądać Danie i Anglię.i rzeczywiście nie dało się na „owym lądzie” zobaczyć zapalających się

---

1 Pewnie z tego powodu że na dalekiej północy w lecie nie świecą się latarnie brzeg jest widoczny cały czas.

światła czy innych szczegółów.

Powrót przez Morze Północne przy dobrym wietrze. Przechodzimy klasyczne oko cyklonu. Spadek siły wiatru o ok. 3B, roz pogodzenie, i po przejściu zmiana kierunku wiatru o ok 180° następnie tężenie wiatru. W naszym przypadku to tężenie kończyło się na 9B w cieśninach (ze względu na mgłę nie zaoczyliśmy cypla Skagen gdzie chcieliśmy się schować), wyszedłem na świtówkę, szliśmy bajdewindem prawego halsu, pokazano mi latarnię na szwedzkim brzegu i polecenie ani ćwierć rumba w lewo i każdy szkwał wyostrzaj! Nabrałem wtedy zaufania do tej łódki... pełne żagle i chodził jak Fin. Rankiem cumowaliśmy w Göteborgu.

Większy wiatr mieliśmy przez moment na Loch Ness-ie gdzie w czasie halsowania dostaliśmy podmuch oceniony na 10B – wzięliśmy wodę bomem grotmasztu.

Ten kawałek miał być na cześć **Bibka**, a trochę wyszedł obok. We wspomnieniu publikowanym przez JK AZS Szczecin pisze się o osiągnięciach żeglarskich. Jedyne załączony list **Ludojada (Ludomira Mączki 1926-2006)** wspomina o przymusowej wyprawie na białe niedźwiedzie: <http://www.jkazs.szczecin.pl/memory/byli.htm>. Z kontekstu wynika że nie był tam zbyt długo. W czasie opisywanego rejsu napomknął kiedyś, że będąc w gułagu dość dobrze „ładował” bo nabył umiejętność robienia igieł krawieckich z drutu miedzianego... nie były to jakieś wspomnienia martyrologiczne a jedynie napomknienie. Widocznie zamiłowanie do metalu mu pozostało na stałe bo jego podstawowy zawód to spawalnictwo i w tej branży był naukowym pracownikiem Politechniki Śląskiej. Spotkałem Bibka jeszcze dwa razy z tej samej okazji. Był członkiem komisji egzaminacyjnej na kapitana i sternika morskiego. Najpierw w Gdyni. To były dwa dni harówki przy tzw verholungach kapitańskich i nasz egzamin na „morskiego” z manewrówki na łódce typu Barka (ponoć przerobiona z szalup Batorego) ożaglenie jol; 40 ÷ 50 m<sup>2</sup> kął martwy ±45° masa 6t. Pamiętam kontrolę wykonywaną przez babkę – bardzo prawdopodobne że przez **Terese D.** - mającą na celu stwierdzenie ile wódki przywieźli kandydaci... Po kilku tygodniach komisja w osobach **Bibka** i **Wojtka Silki** odbierała od nas egzamin teoretyczny w Warszawie, w tej części brali udział ze mną **Maciek Gumplowicz** i **Czesio Zajac - Hazaj**.

Jeszcze dwa słowa o **Jasiu Sauerze**. Był bardzo cierpiący w tym rejsie z powodu kontuzji kolana nawet ktoś z medycznie kształconych robił mu zastrzyki. Jasiu dobrał się kiedyś do chronometru bo coś mu się nie podobało w jego działaniu. Skrupiło się to na mnie bo się przyznałem do moich zegarmistrzowskich ciągotek. Szczęśliwie operacja odbyła się w jakimś spokojnym miejscu (porcie czy kanale). Miałem do dyspozycji żyłkę, scyzoryk i jakąś lupę z rączką... i jakoś udało się wyregulować specyficzne ciężarki balansu. Janek był już wtedy kapitanem i pewnie wiedział, że chronometr, który był wtedy jeszcze podstawowym przyrządem do określania długości geograficznej, podlegał specjalnym procedurom obsługi nieco innym niż zwykły zegarek, w szczególności nie wolno było otwierać mechanizmu. W tym zegarze jedyną obsługą jest nakręcanie nie ma możliwości ustawiania wskazówek. Napęd jest tak skonstruowany że dzięki ślimakowej przekładni łańcuchowej zapewnia stały moment napędowy bez względu na stan naciągu sprężyny. Stąd prowadzi się dziennik chronometru gdzie w oparciu o obiektywne sygnały czasu notuje się odchyłki czyli ustala chód chronometru co potem jest potrzebne przy określaniu czasu kulminacji. Za wynalezienie metody wyznaczania długości geograficznej z dokładnością lepszą jak ½ stopnia rząd królestwa Anglii wypłacił w połowie XVIII w. nagrodę w wysokości 20 000 funtów – był to głównie wynalazek bardzo dokładnego zegara.

**Hanka Kotkowska** zdaje się że później żona **Stanisława Barei**. Była w klubie przez kilka sezonów, sprowadził ją chyba **Major (J. Kurzyński)**. Szliśmy z nią pewnego razu szosą z ośrodka do wsi w Wilkasach, do sklepu czy jakiejś jadłodajni. Obok przejeżdżał wóz cygański – piękny oszklony. Bardzo często jeździły tam te tabory cygańskie. Furman mówi do mnie (takie są cygańskie zwyczaje – kobieta nie bardzo się liczy): Ale mosz fajną babę. Na to Hania cicho do mnie Ale ma za grube nogi...

Wspominając w poprzednim odcinku braci **Fiejków** wypuściłem jakoś żeglarską część związaną z tym nazwiskiem. Bracia **Fiejkowie** stworzyli w naszej Sekcji pierwszą maszoperię i zbudowali wspólnie łódkę klasy **Ω**. Budowę wspierał w zasadniczy sposób nasz klubowy szkutnik p. **Grabarczyk**. Wydaje mi się że **Grabarczyk** przedwcześnie nas opuścił z powodu jakiejś nieuchronnej choroby.

W warszawskim AZS też mieliśmy **Wuja** - tak zwano kol. **Wojtkowskiego** pływał na Olimpijce, - ekonomistę zdaje się że został później dyrektorem ekonomicznym Zakładów Kasprzaka

Przed rejsem na Conradzie kapitan robi przegląd załogi. Każdy mówi czym się zajmuje „na ładzie”. Jest inżynier, pracownik naukowy, nauczyciel... i na koniec melduje się student. Kapitan na to: „Student, a Ty skąd się wziąłeś w AZS-ie !?”

W czasie jakiejś imprezy centralnej na wybrzeżu (tydzień Zatoki G. ?) byliśmy wiezieni autokarem i akurat ogłoszono ustawę o podatku wyrównawczym. Dla większości pensja na poziomie 8 tys. miesięcznie była niewyobrazalna i do dyskusji i narzekania zabrali się dwaj prywaciarze: **Czesław Marchaj** i azetesiak toruński **Twardowski** – ta ustawa im sprawiała problemy... **Marchaj** zanim został specjalistą od teorii żeglowania (miał jak najlepsze przygotowanie jako absolwent wydziału lotniczego) prowadził swoją prywatną wytwórnię okularów przeciwsłonecznych (były ponoć b. dobre i b. drogie). **Twardowski**, wybitny żeglarz, reprezentował jak mi się zdaje branżę motoryzacyjną.

O panu Czesławie słyszałem opowiadanie jak to pojechał na Targi Poznańskie swoim samochodem, a był to poprzednik trabanta, zdaje się że nazywał się P70. **Marchaj** bywał czasem trochę roztargniony nie zamknął samochodu i nie dobrze pamiętał gdzie go zostawił. Koledzy przestawili samochód na drugą stronę ulicy i pomalowali klejową farbą<sup>2</sup> z tej strony z której można go było widzieć na inny kolor. W efekcie poszukiwania samochodu trwały więcej niż pół dnia.

Innym razem **Marchaj** nie dostał paszportu na wyjazd na regaty chyba w Szwecji a organizatorzy wysłali jego łódkę na te zawody co skutecznie uniemożliwiło mu start w zawodach krajowych. Skończyło się to telegramem: „Ściskam w pasie chromolę Was Marchaj Czesław AZS Warszawa”.

**Edward Krauze** (1940/42 -2004). Znałem go z powodu wspólnej pracy i żeglarstwo było jednym z naszych tematów. Edziu działał w kilku środowiskach żeglarskich. Wchodzę pewnego razu do jego pokoju, a Edziu do mnie: „Popatrz jaki antysemityzm” to ja „A co Ci zrobili?” i widzę przerażenie w oczach kolegi świeżo przyjętego do pracy, a on na to: „Mam ciągnąć hol na Mazury, moja flagowa jednostka ma zanurzenie 70cm a w Pisie jest tylko 50...” Taka konwencja rozmowy była między nami zupełnie dopuszczalna bo Edziu był jednym z nielicznych w Polsce Żydów których znam (tacy co powiedzieli że są...). Mieliśmy do niego pretensje gdy w 1968 roku mówił że zna 3 języki obce: rosyjski, niemiecki i polski. Był synem szefa przedwojennej sekcji polskiej radia Moskwa, który po wojnie był jakimś wykładowcą w szkołach partyjnych – mówiło się o nim profesor. Mieszkali na Pułaskiej w domu gdzie trzeba było wyrabiać przepustkę, czy zostawiać dokument. Edziu będąc w wojsku grywał w szachy z d-cą pułku Florianem Siwickim później generałem i w stanie wojennym twórcą słynnej alternatywy: w czasie wizji lokalnej powodzi w Płocku: „...to podejmiemy decyzję teraz, albo pojedziemy do sztabu i tam podejmiemy decyzję...” W latach 80. Edziu był entuzjastą Solidarności.

W ostatnich latach Edziu był, na poziomie Regionu, rzecznikiem praw pracowniczych i z tej racji często bywał w sądach. Przyniósł stamtąd wyjątek zeznań świadka z protokołu rozprawy: „... i

---

2 dawniej używało się takiej dobrze zmywalnej farby do ścian gdy jeszcze nie było „emulsyjnej”

wtedy oskarżony powiedział: Czekaj ty ch... rybi to ci przy...le. Dalej świadek mówi nie wiem czy dokładnie użył tych słów ale na pewno to miał na myśli”

Teraz takie kawałki zupełnie nie żeglarskie ale chyba interesujące:

Świadomi w latach czterdziestych zapewne pamiętają wypisywane w wielu miejscach hasło „AK zapluty karzeł reakcji”. Nie wszyscy jednak wiedzą że wyrażenie „zapluty karzeł” pochodzi z kwiecistego języka Józefa Piłsudskiego

Wyrażenie „propaganda państwowo twórcza” było zawsze dla mnie pejoratywne... Jakież było moje zdziwienie gdy znalazłem przedwojenną książkę – mógł to być życiorys Marszałka – wydaną przez Instytut Propagandy Państwowo Twórczej.

W Warszawie była ulica Wery Kostrzewy przeciętny człowiek rozumiał, że jest ona poświęcona osobie o imieniu Wera i nazwisku Kostrzewa. Nic bardziej błędnego. Patronką tej ulicy była członkini naczelnych władz KPP wykończona przez Stalina w latach 30. Maria Koszutska, która w pewnym okresie pracy konspiracyjnej używała pseudonimu „Wera”, a w innym „Kostrzewa”. Urzędnicy jak zwykle kpią sobie z wiedzy i rozumu zwykłych obywateli i to niestety jest niezależne od ustroju. Czytałem kilka lat temu takiego który postulował usunięcie pomnika żołnierzy rosyjskich z parku przy al. Żwirki i Wigury, zapominając że to jest cmentarz wojenny, a cywilizowani ludzie chronią takie miejsca. Można przegiąć w drugą stronę budując pomnik rosyjskim żołnierzom a zapominając o naszych (Ossów).

Zapisał:

Władysław Judycki; ul. Wiktorska 80 m 10; 02-582 Warszawa

[wjudycki@o2.pl](mailto:wjudycki@o2.pl)

tel.: (22)848-24-94; kom. 517-635-517